EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 8 Października 1933 R. | NR. 41 (54)

Profesorowie wojny

Krucjata Roosevelta

Rycerze handlu

Tragedja aktorów

Reforma obyczajów

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: Szpecht. Hulka-Laskowski. Wasowski. Oborski. Czarnowski. Czosnowski. Céline.

C

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

PROFESOROWIE WOJNY

Mała książeczka, zatytułowana *Wehrwissenschaft* (Wiedza o wojnie), której autorem jest profesor Ewald Banse, doskonale oświetla rolę, jaką odgrywają profesorowie wyższych uczelni w dziele psychicznego przygotowania narodu niemieckiego do wojny. Rząd Rzeszy zaofiarował prof. Banse nowoutworzoną katedrę wiedzy wojennej.

Prof. Banse uważa, że umysł każdego Niemca powinien narówni z ciałem odbyć „zaprawę do militarnego życia". Oko Niemca powinno np. widzieć w jeziorze nietylko zbiór wody, lecz również punkt geograficzny, który wywrzeć może wpływ na przesunięcia wojskowych oddziałów. Ptaki, klimat, bydło, bogactwa podziemne, drzewa — wszystko to ma swój sens militarny.

W przedmowie twierdzi autor, że „lamenty wersalskie nie prowadzą do niczego, czynią nas śmiesznymi. Powinniśmy ująć nasz los we własne ręce i rozwinąć przedewszystkiem naszą wiedzę o wojnie oraz przygotować dla wojny dusze. Jedynie wojna może nas wyprowadzić z obecnych nieszczęść na drogę szczęścia. Lecz wojna dzisiejsza nie jest igraszką wesołą z przed kilkunastu lat. Będzie walką okrutną ludzi i materji: gazy, choroby, tanki, bombardowanie powietrzne, głód, nędza, a także zdrady i poświęcenia — wezmą czynny udział w przyszłej wojnie. Przetrwa ją jedynie ten naród, którego każdy obywatel czuje i pojmuje, że życie jego należy do państwa, które jest strażnikiem ducha narodowego, języka ojczystego i kultury. Nie chcemy przedstawiać wojny w zbyt jasnych barwach. Nie pragniemy jej wybuchu. Lecz wiemy, że jest nieuniknioną i jedyną drogą naszą do wolności. Dlatego też każdy mężczyzna, kobieta i dziecko powinni wiedzieć, czem jest wojna".

Prof. Banse zaleca zarówno teoretyczne, jak i praktyczne „nauczanie militarne" w szkołach. W szkołach elementarnych uczeń, liczący 6 lat, zetknie się już z wiedzą o wojnie, włączoną narazie do nauczania geografji i historji.

Prof. Banse kończy swą broszurę oświadczeniem, że „naród rozbrojony ma prawo do wszelkiej broni": „Wszystkie metody są dobre, jeśli zmierzają do pokonania wroga, dlatego uczmy się tajników wojny gazowej i bakterjologicznej!"

LEITMOTYW ASTURYJSKI

W asturyjskich kopalniach węgla zastrajkowało 23 tysiące górników. W związku z tym strajkiem pisze dziennik hiszpański *El Liberal:*

„Nasz przemysł węglowy jest organicznie chory. Jakże bowiem inaczej wyjaśnić regularną okresowość powszechnych strajków w kopalniach asturyjskich? W odstępach trzymiesięcznych wybucha stale zatarg między posiadaczami a pracownikami i co trzy miesiące zatarg jest łagodzony w nadziei, że „tym razem, był to ostatni konflikt". Kraj ten, dawniej jeden z najbogatszych w Europie, nawiedziła groźna zmora bezrobocia. Jak wszędzie zresztą, bogactwa ziemi i zasoby kopalne — stały się źródłem nędzy i nieszczęść. Wiemy dobrze, że ceny węgla są niskie, że jakość naszego węgla ustępuje przed węglem Niemiec i Anglji, że współzawodnictwo tych krajów jest niezwalczone, i t. d. Lecz nie zmienia to faktu, że trzydzieści tysięcy robotników utrzymuje się z wydobycia tego produktu...

„Kopalnie asturyjskie są widownią ustawicznych konfliktów socjalnych i ekonomicznych. Co czynić? Jeśli sądzić według przeszłości, obecny zatarg znów zostanie „definitywnie" rozstrzygnięty, by powtórzyć się za trzy miesiące, jako leitmotyw naszego życia społecznego, pozbawionego równowagi"...

»OCZERNIANIE« JULJUSZA CEZARA

Miasto włoskie Rimini obdarzone zostało przez Mussoliniego posągiem Juljusza Cezara. Podczas odsłonięcia pomnika wygłosił mowę w imieniu partji faszystowskiej poseł Bodrero, który nazwał Juljusza Cezara „pierwszą czarną koszulą" Italji. Mówca obszernie motywował ten tytuł, przeprowadzając m. in. analogję pomiędzy marszem na Rzym a... Rubikonem i uważając obydwa wydarzenia dziejowe za „identyczne zrządzenia Opatrzności". Niema w dziejach — według Bodrero — bardziej podobnej do Cezara postaci, niż Mussolini. Mówca dyskwalifikuje Napoleona, jako „awanturnika i kondotjera", niegodnego sąsiedztwa z imionami wielkich Rzymian, Cezara i Il Duce.

SPENGLER W NIEŁASCE

Oswald Spengler, znany autor dzieła o upadku cywilizacji zachodniej, był doniedawna mile widziany przez nowych władców Rzeszy. Zaofiarowano mu uniwersytecką katedrę historji. Spengler odmówił. Przed dziesięcioma niespełna laty w dziele „O prusjanizmie i socjalizmie" przewidział Spengler ukształtowanie się obecnego ruchu narodowo - socjalistycznego. W ubiegłym roku Spengler ogłosił p. t. „Pisma polityczne" cykl artykułów, napisanych w ciągu ostatnich lat. Omawia w nich ruch hitlerowski bez entuzjazmu, z pogardą odnosząc się do defilad, uniformów i sztandarów, które nazywa „pustym teatrem narodowego romantyzmu". Zdobył się nawet na ryzykowne oświadczenie, że nie widzi wśród współczesnych nikogo, kto dorósł do roli przywódcy narodu.

Przed kilkoma tygodniami ogłosił Spengler książkę p. t. „Rozstrzygające lata", w której pisze o „bezosobowej, elementarnej i żywiołowej sile rewolucji narodowej". Podkreśla „prawdziwie pruską dyscyplinę" z jaką dokonał się przewrót, kończy jednak słowami: „Nie było to wielkie zwycięstwo, gdyż przeciwnicy ulegli bez walki. Moje obawy o Niemcy nie zniknęły; tryumf marcowy był zbyt łatwy". Spengler ani razu nie wymienia w książce nazwiska Hitlera.

Krytyka hitlerowska urządziła gwałtowną i systematyczną nagankę na Spenglera. Odsądziła go od — „poczucia rzeczywistości, przytomności i zdrowia umysłowego".

„Świat białych jest powszechnie rządzony przez niedołężnych głupców" — tą szczególnie konkluzją Spenglera poczuli się dotknięci wyznawcy Hitlera.

ICH POZIOM

W tygodniku *Szczerbiec* (organie młodzieży Obozu Wielkiej Polski), zamieszczono następującą notatkę:

„Aby osiągnąć możliwe oddzielenie żydów od ludności chrześcijańskiej, konieczne jest, by można było łatwo żydów rozpoznać. Niestety, tak się nieraz

zdarza, że żydzi potrafią tak skutecznie udawać „gojów", że się za żydów nie bierze. W dawnych wiekach zapobiegano temu przez obowiązujący żydów odmienny strój, albo przez obowiązek noszenia przez nich żółtej łaty na plecach. Tę żółtą łatę pragną teraz wznowić rządy hitlerowskie w Niemczech. Również i w Polsce wysuwany jest projekt przymusowego wprowadzenia żółtej łaty dla żydów. Tygodnik „Myśl Narodowa" radzi, aby nakazać tym żydom, co nie noszą chałatów, noszenie na plecach na wysokości łokcia żółtej łaty kształtu kara z kart, rozmiarów 8 na 8 centymetrów."

Przytaczamy powyższy dokument nie bez uczucia litości dla poziomu tego pisma.

CMENTARZ ŻYWYCH LUDZI

Kurjer Poranny (Nr. 266) zamieścił wstrząsający opis Annopolu p. t. „Cmentarz żywych ludzi".

Ludność tego miasta bezdomnych wynosi 12.000, z czego 80% bezrobotnych. Prócz drobnej części tych, których autorka, p. E. P., nazywa „burżuazją proletarjatu", płacą bowiem za oddzielne izby po 21 zł. miesięcznie, olbrzymia większość żyje w warunkach straszliwych. A już t. zw. „ogólniaki" — to prawdziwe piekło na ziemi. W izbach po 6 — 7 rodzin. Zamiast podłogi — ziemia. Połowa mieszkańców chora na gruźlicę. „Druga połowa skazana na współżycie z nimi, na oddychanie, na jedzenie ze wspólnej miski, naznaczona jest już znakiem śmierci".

To nie miejscowość oddalona, leżąca gdzieś zdala od świata cywilizowanego, od normalnej komunikacji: do Annopola jedzie się tramwajem z Placu Teatralnego 45 minut. Można więc bez trudu otrzymać przystępną lekcję o kontrastach socjalnych, wołających o pomstę do nieba.

A oto obraz, nad którym warto się zastanowić:

„Przed jednym z domków zebrała się gromadka ludzi. W nocy zdarzył się wypadek. W ciasnej izbie zamieszkałej przez sześć rodzin, rozpoczęła rodzić jedna z kobiet. Zaczęło się normalnie, poczem nastąpił krwotok. O pomocy lekarskiej na Annopolu w nocy trudno myśleć. *W mieście nędzarzy nie mieszka ani jeden lekarz. Tak samo zresztą, jak niema adwokata. Nic dziwnego, bo niema własności.* Jedyne miasto o 12 tysiącach ludności, nie mające stałego lekarza. Kto się chce leczyć, musi odbyć długą drogę do Magistratu po kartkę. Kasa Chorych leczy tylko dzieci, pozatem mieszkańców ubezpieczonych. W nocy w razie wypadku pozostaje telefon do Pogotowia. Ale połóg, nawet bardzo ciężki i połączony z utratą życia, nie jest powodem dla wyjazdu karetki. Trzeba sobie radzić samemu. Kto ma parę złotych na czarną godzinę — woła akuszerkę. Tak wygląda przyrost naturalny nędzarzy w ich mieście.

„Niema zupełnie lekarza-ginekologa, a lekarz ordynujący 2 godziny na dobę z ramienia Magistratu, pomimo olbrzymich wysiłków, nie jest fizycznie nawet w stanie przyjąć wszystkich chorych z ogromnej masy 12 tysięcy ludzi."



KRUCJATA ROOSEVELTA

Eksperyment Roosevelta zbliża się do punktu kulminacyjnego. Przegrana zakrojonej na olbrzymią skalę „akcji odbudowy" oznaczałaby nietylko klęskę prezydenta Roosevelta, jako jej inicjatora. Od realizacji rooseveltowskich planów zależy bowiem niewątpliwie układ i rozwój kierunków społecznych w Stanach Zjednoczonych. Działalność Roosevelta otoczona jest — jak każdy zresztą nowy eksperyment — rozgwarem najsprzeczniejszych opinij, począwszy od zarzutu „bolszewizacji Ameryki", wysuwanego przez wielki przemysł do pogardliwej nazwy „bezplanowej planowości", jaką ochrzcili komuniści zarządzenia prezydenta Stanów Zjednoczonych. Dla odnalezienia istotnych cech „nowej akcji", której patronuje symbol błękitnego orła — należy cofnąć się do chwili objęcia przez Roosevelta władzy prezydenckiej.

Objęcie władzy przez Roosevelta poprzedzone było moratorjum bankowem, ogłoszonem przez większość stanów w marcu 1933 roku. Moratorja były następstwem paniki, jaka zawładnęła ogółem, gdy zrozumiano, że znakomita większość kredytów udzielonych przez banki jest zamrożona. Dłużnicy, a w szczególności farmerzy, nie mogli spłacać swych zobowiązań naskutek katastrofalnego spadku cen. W przeddzień objęcia władzy przez nowego prezydenta, ogłosił moratorjum stan Nowego Yorku, centrum finansjery i bankowości. Zastosowanie iście drakońskiego środka, jakiem jest zawieszenie wypłat, wytłomaczyły sfery finansowe stanu nowojorskiego ciężarem nadmiernym, jaki spadł na banki miejscowe naskutek restrykcyj, zastosowanych przez sąsiednie stany. Cieszący się nieskazitelną opinją handlową stan Nowego Yorku starał się usprawiedliwić „wakacje bankowe" nerwowością innych stanów. W samej rzeczy jednak nowojorczycy niemniejszym byli opanowani strachem o zagrożone depozyty, niż obywatele pozostałych 47-ciu stanów.

Run na banki, panika i moratorjum były symptomatycznemi przejawami agonji hooverowskiej „prosperity". Zatrzaśnięte podwoje banków oznaczały paraliż życia ekonomicznego. Rząd przystąpił do selekcji banków z zamiarem uruchomienia wyłącznie zdrowych i mocnych instytucyj. Lecz presja prywatnych interesów zmusiła Roosevelta do rozszerzenia jego planu. Otwarto wiele banków, znajdujących się w kiepskiej sytuacji finansowej, wspomagając je zastrzykiem *Reconstruction Finance Corporation.* Akcja odbudowy — jak widzimy — rozpoczęła się od uzdrowienia chorych, których śmierć byłaby dobrodziejstwem. Czynnik kompromisu i ustępliwości wobec nacisku opinji pozostaną i w dalszym ciągu znamienne dla postępowania Roosevelta.

Następnie zamierzeniem rządu było podniesienie cen do poziomu r. 1926-go. Pierwszym środkiem tu zastosowanym było *embargo* złota (ustanowione 6 marca), a w sześć tygodni później — porzucenie parytetu złota. Ten symbol kryzysu monetarnego urósł na gruncie kampanji o zwyżkę cen, o odciążenie dłużników, o mniej lub więcej kontrolowaną inflację. Współdziałały z temi tendencjami okoliczności natury zewnętrznej — rywalizacja krajów

o zdeprecjonowanej walucie i nierówna walka z funtem-szterlingiem.

Prawo, ustanowione w dn. 12 maja 1933 było formalną autoryzacją inflacji. Kongres upoważnił Roosevelta do obniżenia wartości dolara w skali 50% oraz przyznał mu do dyspozycji 3 miljardy dolarów. Te zarządzenia monetarne były fragmentem rozleglejszej ustawy o pomocy dla rolnictwa, którego upadek był jedną z głównych przyczyn przesilenia. Pomoc ta zmierzała do przywrócenia równowagi pomiędzy produkcją a spożyciem produktów rolnych, do zwyżki cen i restytucji siły nabywczej farmerów. Program rządowy obejmował również ograniczenie produkcji, zrealizowane np. dla bawełny w t. zw. planie Wallace'a, który wszedł w życie 1-go sierpnia 1933 roku.

Najpoważniejsza część działalności rozpoczęła się z chwilą zainicjowania akcji w dziedzinie przemysłowej. Zwyżka cen godziła w odbudowę siły nabywczej i konsumcyjnej, jeśli nie towarzyszyła jej równoległa zwyżka płac. Ożywienie i naprawa ekonomicznej maszyny wymagała też na szeroką skalę zakrojonego programu robót publicznych, których zadaniem byłaby progresywna redukcja bezrobocia. Te przesłanki posłużyły za wytyczne *National Recovery Act*, przedłożonego kongresowi do uchwalenia 17 maja 1933 roku.

Zastosowanie wskazań *N. R. A.* wymagało opracowania przez rząd serji „kodeksów" dla poszczególnych gałęzi produkcji przemysłowej. Wokół kodeksów rozgorzała namiętna walka. Opór przemysłu, strajki robotnicze, propaganda *National Industrial Recovery Administration*, czyli *N.I.R.A.*, prowadzona przez energicznego gen. Johnsona — stworzyły dokoła sprawy „kodeksów pracy" atmosferę naelektryzowaną przeciwieństwami interesów świata pracy i kapitału.

Kodeksy są odrębne dla każdego przemysłu. Wspólną jednak ich zasadą jest podwyżka płac w skali ok. 15%, oraz ograniczenie godzin pracy; obydwa te środki zmierzają, jeden — do podniesienia zdolności nabywczej robotników, drugi — do redukcji bezrobocia. Kodeksy poszczególne różnią się między sobą zależnie od rodzaju przemysłu, którego warunki pracy starają się unormować. I tak np. dla przemysłu naftowego prezydent uzyskał prawo ustanawiania cen, a poszczególne stany otrzymały przywilej kontroli produkcji. Przykładem pewnej połowiczności zarządzeń rządowych jest kodeks przemysłu metalurgicznego, przyjęty jedynie na próbny okres 90-dniowy, po którego upływie prezydent rozstrzygnie o jego utrzymaniu, lub o modyfikacji.

Dla zilustrowania kodeksów przytoczmy niektóre postanowienia, normujące pracę w przemyśle tekstylnym. Minimum płacy wynosi 12 lub 13 dolarów, zależnie od rejonu wytwórczego, za 40-godzinny tydzień pracy. Zakazana jest praca młodzieży poniżej lat szesnastu. Przedsiębiorstwa winne składać tygodniowe raporty do *Cotton Textile Institute*, wskazujące rozmiary produkcji, zapasy i zamówienia. Ustala się stałą kooperację pomiedzy organizacjami przemysłowców, robotników i *N.R.A.*, która będzie gwarancją lojalnego wykonywania przepisów kodeksowych. Robotnicy mają prawo organizowania i swobodnej przynależności do związków zawodowych oraz układania się o warunki pracy za pośrednictwem wybranych przedstawicieli. Przedsiębiorca nie ma prawa jakiejkolwiek interwencji w sprawy organizacyjne zrzeszeń robotniczych, nie wolno mu też żadnemi środkami, ani przymusem ani namową skłaniać swych pracowników do przynależności do wskazanego przez pracodawcę związku.

Powodzenie programu „kontrolowanej gospodarki" uzależnił Roosevelt od współdziałania całego narodu. Krucjata przeciwkryzysowa musi być masowa. Gen. Johnson, przywódca kampanji *N. R. A.* w exposé programowem wyraził się, że powodzenie akcji zależy od tempa w jakiem „psychoza strachu i bezrobocia ustąpi przed psychozą zaufania i pracy". Obnażył zarazem nieprzeczuwaną — być może — przez Roosevelta i jego doradców przykrą niespodziankę: wzmożenie siły nabywczej konsumenta nastąpić miało dzięki zwyżce płac, tymczasem realny, (a nie nominalny) wzrost zarobków nie nastąpił, albowiem w wyścigu płac i cen — szybsze tempo ujawniły ceny. „Odbudowa" siły konsumenta okazała się pozorna.

***

Czy powyżej zarysowane ogólne wytyczne akcji Roosevelta noszą jakiekolwiek cechy „rewolucyjnych", choćby „bezkrwawo-rewolucyjnych" poczynań? Niewątpliwie na gruncie amerykańskim, gdzie nieznane są np. ubezpieczenia społeczne, a Sąd Najwyższy Stanów Zj. znosił ustawy o zakazie pracy dzieci — jako niekonstytucyjne, takie zarządzenia, jak zakaz pracy młodzieży poniżej 16-u lat oraz prawo robotników do koalicji zawodowej — są wywrotową niemal inowacją. Beztroska socjalna amerykańskiego społeczeństwa musiała przecież skończyć się pewnego dnia, gdy statystyka zaczęła nabrzmiewać i pęcznieć od cyfr — już nie bogactw, lecz od liczby bezrobotnych. Instynkt *samoobrony* podyktować wówczas musiał zainteresowanie dla zagadnień nieznanych, a raczej przeoczanych w nadziei powrotu „prosperity".

Program Roosevelta, nad którym rozpostarte są skrzydła „niebieskiego orła" oznacza porzucenie złudnej i dlatego szkodliwej wiary w samorzutny powrót wysokiej konjunktury i dobrobytu. Oznacza zarazem narodziny — moralnego i ekonomicznego rewizjonizmu, poczętego jednak pod hasłem *odbudowy* a nie *przebudowy*.

W słowniku amerykańskich ekonomistów pojawiać się zaczęły słowa, doniedawna wygłaszane wyłącznie przez nieliczną zresztą grupę społecznych pisarzy zaoceanicznych: moralność i sprawiedliwość. (Pisarze ci, obnażający amoralne życie Ameryki, znajdowali się niemal na indeksie. Los ten przecież spotkał John dos Passosa, który opisał piekło „Manhattanu", Upton Sinclair'a, demaskującego „Królów węgla" i „Nafty", kulisy sprawiedliwości „Bostonu" czy metody chicagowskiego „Trzęsawiska", Teodora Dreisera, który w „Tragedji amerykańskiej" odsłonił deprawację młodzieży amerykańskiej). Ekonomiści z pod znaku „trustu mózgów" odkryli nagle amoralność metod gospodarki Stanów Zjednoczonych. Amoralny bowiem był szał spekulacyjny, amoralna była dyktatura wielkich bankierów, amoralne były metody współzawodnictwa, „godne — według słów gen. Johnsona — rzezimieszków i piratów".

W programie Roosevelta leżała walka z dyktaturą skarbców bankowych (proces Morgana), a przedewszystkiem z destrukcyjną anarchją i wybujałą samowolą magnatów przemysłowych. I tu pojawiła się zagradzająca drogę postać Forda. Ford nie chce

podpisać kodeksu. Oświadcza, że sam wyprzedził przecież zarządzenia Roosevelta: sam podniósł zarobki, zmniejszył tydzień pracy. Dlaczego więc odrzuca kodeks? Ford nie uzna bowiem na terenie swoich fabryk organizacji robotniczej, która mogłaby wysuwać żądania i prowadzić z nim rokowania. Walka pomiędzy gen. Johnsonem a Fordem przybrała dramatyczne cechy. Narazie ustąpił... gen. Johnson.

Ford ocenił wagę kapitalnej dla amerykańskiego świata pracy zdobyczy, jaką jest uznanie prawa robotników do zbiorowego układania się z przemysłowcami. I oto na tym właśnie odcinku akcji Roosevelta kapitaliści organizują formalny sabotaż. Odmawiają udziału w naradach z delegacjami robotniczemi. Dobitnym przykładem ich taktyki jest przygoda ministra pracy, miss Perkins. Przybyła ona do jednego z miast stanu Pensylwanja. Do ratusza, gdzie odbywała urzędowe konferencje, zgłosiła się delegacja robotników metalowych, aby poinformować ministra o warunkach pracy. Z nakazu zarządu miejskiego policja nie dopuściła delegacji do pani Perkins, która udaje się kolejno do parku, a potem do bibljoteki miejskiej, aby tam przyjąć delegatów. Ale i tu przeciwdziała policja. Dopiero w rządowym gmachu poczty udało się pani Perkins wysłuchać żądań delegacji robotniczej.

***

Cały świat śledzi z najwyższem zainteresowaniem walkę, jaką prowadzi Ameryka z kryzysem. Walkę bez precedensu, zarówno przez rozpiętość interesów, wchodzących w grę jak i przez swoistą mieszaninę zastosowanych środków. Przedwczesną byłaby ocena eksperymentu Roosevelta. To też staraliśmy się wyjaśnić jedynie zasadnicze linje programu „odbudowy". Jedno nie ulega jednak wątpliwości: złudzeniem byłoby przypisywać Rooseveltowi ideową obronę świata pracy. Podjął on bowiem przy pomocy radykalnych — jak na stosunki amerykańskie — metod obronę kapitalizmu, która może jednak zaprowadzić znacznie dalej, aniżeli obliczyli to twórcy N. I. R. A. Nie jest tedy pozbawiona głębszego sensu anegdota, według której Roosevelt zależnie od powodzenia lub fiaska swej akcji przejdzie do historji jako prezydent Stanów Zjednoczonych — najlepszy lub ostatni.

Józef Szpecht

PROLEGOMENA DO REFORMY OBYCZAJÓW

Znakomity uczony i znawca obyczajów Ribbing, mówiąc o obyczajach, czyli o moralności, powiada: „Sprawa płciowa jest korzeniem i kwiatem, początkiem i końcem wszelkiej moralności. Gdybyśmy dzień i noc pracowali nad zbawieniem ludzkości i gdybyśmy jej poświęcili wszystko, co posiadamy, wysiłki nasze byłyby daremne, gdybyśmy jednocześnie zaniedbywali i zohydzali życie płciowe, tę szkołę powszechną wiecznej odnowy wszelkiego altruizmu."

Ta cytata z Ribbinga ułatwia nam znakomicie określenie reformy obyczajów. Chodzi o to, aby stosunki między kobietą a mężczyzną i mężczyzną a kobietą były dobre; innemi słowy, aby dobre były obyczaje. Nie było i niema na świecie takiego człowieka, który chciałby obyczajów złych. Skądże więc biorą się złe obyczaje, które trzeba reformować, skoro nikt ich nie chce? Opowiadają o mądrym skądinąd filozofie Plotynie z 3-go wieku naszej ery, iż nie chciał się portretować, bo się wstydził, że ma ciało. Za jego przykładem całe średniowiecze wstydziło się teoretycznie, że ma ciało. Wyrażając się obrazowo, możemy powiedzieć, że dla ascetycznego średniowiecza ciało było częścią sromową duszy. Trzeba było ukrywać je starannie.

Jeśli ciało samo przez się było niejako kulą u nóg duszy, to popędy tego ciała, prowadzące do pomnażania cielesności na ziemi, musiały uchodzić za istotę wszelkiego zła. Należało ciało umartwiać: dawać mu mało i źle jeść, a już broń Boże nie pozwalać mu na folgowanie żądzy. Przepiękny i naiwny mit rajski, który jabłuszkowym symbolem przesłonił niewinną miłość dwojga niedoświadczonych i niewyrafinowanych dzieci, znalazł surowych komentatorów i stał się ośrodkiem bardzo ponurego światopoglądu. Problematyka pochodzenia zła znalazła wytłumaczenie w istnieniu ciała i jego sprawek, czyli: dlatego jest źle na świecie, że są złe obyczaje. Bardzo uczony i mądry pisarz kościelny, Origenes, wziął te rzeczy tak dosłownie i tak osobiście, że pozbawił się najaktywniejszej części ciała. O świętym Antonim opowiada kompetentny Flaubert, że uciekł na pustynię, aby być zdala od pokuszeń ciała kobiecego, ale Anatol France ustalił fakt, że kobieta obecna nigdy nie jest taka niebezpieczna, jak nieobecna. Wieki średnie były ascetyczne i wyuzdane zarazem: grzeszyły i kajały się, kajały się i grzeszyły. Grzech był zawsze taki sam, ekspiacja zmniejszała się stopniowo i łagodniała.

Renesansowy malarz, Tycjan, wymalował pięknie dwie miłości: ziemską i niebieską. Ziemska odrzuciła purpurę płaszcza, jest naga, biała, kusząca i śliczna na tle tego purpurowego płaszcza; niebiańska miłość jest porządnie i solidnie ubrana w kolory pełne umiaru, a w oczach ma cnotę. Średniowieczni malarze byli przekonani, że Chrystus był nad wszelki wyraz brzydki, że powinien był jaśnieć brzydotą, bo piękność jest cechą cielesności nawskroś grzesznej. Znakomity pisarz angielski, Galsworthy, dał nam niezrównany portret Forsyte'a i opis forsytyzmu, a dowcipny pamflecista francuski, Emanuel Berl, powiedział, że dla wszelkiego forsytyzmu miłość jest komplikacją fatalną. Forsyte jest od tego na świecie, aby zdobywać pieniądze i dostojeństwa, zaś miłość przychodzi niby trzęsienie ziemi i wyraca wszystko do góry nogami.

Miłość! Niedawno jeszcze mówiono o niej z wielkiem zażenowaniem i przeciwstawiano jej niewinność, czyli stan niedoświadomienia. Dziecko, które wierzyło w bociana, było dobrem dzieckiem i w hierarchji cnotliwości stało daleko wyżej od dziecka w bociana nie wierzącego, czyli złego. Dzisiaj nie mówi się o miłości z zażenowaniem, ale z szacunkiem, jako o najlepszem, a zarazem najzdrowszem tonicum twórczej umysłowości. Nietzsche przewartościował wszystkie wartości i ustalił prymat ciała. Zarazem odważył się wyznać serdeczną miłość dla ziemi aż dotąd spotwarzanej.

Sztuka jest podobno seismografem duszy zbiorowej. Jeśli tak, to ten seismograf notował kult ciała

od najbardziej zamierzchłych czasów. Moralność pisała dekalog, a poezja opowiadała o pięknej Putyfarze, o Judycie, o Dalili. W literaturze, która jest marzeniem głów jeszcze nie ściętych, panuje wolność, a kino sławi miłość i piękne ciało Marleny Dietrich, Grety Garbo, Lupe Velez, Douglasa Fairbanksa i Toma Mixa. Ci, co siedzą nad książką Żeromskiego, Lawrence'a, albo Joyce'a, i ci, co siedzą przed ekranem, cieszą się tą cudowną wolnością sztuki, z jaką ona reformuje obyczaje. Cieszą się i rozkoszują, bo gdyby ich to smuciło, albo napełniało odrazą, toby nie czytali i nie chodzili do kina.

Ale w życiu jest inaczej. To, co w powieści i na ekranie jest takie piękne, w życiu powszedniem jest właśnie „złym obyczajem", przyczyną klęsk społecznych, nieurodzajów i trzęsień ziemi. Miłość tworzy nietylko cudowne sonety, katedry i obrazy, ale także rodzi dzieci. Oczywiście, że jeśli nawet u bogatych Forsyte'ów miłość jest komplikacją, to tem większą komplikacją musi być u ludzi biednych. Smutek porzuconej kochanki jest jej sprawą niejako prywatną, ale dziecko porzuconej matki jest kłopotem społecznym, powikłaniem gospodarczem zbiorowego życia. I dlatego dobre obyczaje wymagają, aby miłość jednych nie obarczała drugich. To jest wszystko.

Bo miłość sama w sobie jest dobra. Gdyby się wszyscy tak kochali, jak się kochają kochankowie, ziemia byłaby rajem. I nikomu nie mogłoby przecie szkodzić, że dobrzy ludzie komunikują sobie piękne i miłe postaci szczęścia przy pomocy pieszczot. Przeciwnie, społeczeństwo dokładałoby wszelkich starań, aby miłości było na świecie jak najwięcej. Działoby się na całej ziemi tak, jak jest w książce Huxleya o nowym doskonałym świecie. Kilka lat temu wysoki dostojnik kościoła, monsignor Herscher, sławił w Paryżu, wobec licznie zebranych arystokratek, Ludwika XIV, jako filar wiary i dobrych obyczajów. Ale Ludwik XIV sam nie przestrzegał dobrych obyczajów, lubił miłość ziemską i miał liczne kochanki. Nie przestrzegał dobrych obyczajów, bo ich przestrzegać nie potrzebował, ile że był bogaty dostatecznie i dzieci jego nie stawały się kłopotem dla dobroczynności i złoczynności publicznej. Najchrześcijańściejszy król i filar dobrych obyczajów nie potrzebował przestrzegać dobrych obyczajów i dlatego ich nie przestrzegał.

Gdyby kochankowie mieli własne domy i odpowiednie dostatki, kwestja dobrych obyczajów nie istniałaby wcale. Moralność to wielkie mixtum compositum spraw najróżniejszych. Nie trzeba być wielkim filozofem, aby dostrzec linję łączną między erotyką a akcją ciężkiej artylerji. Człowiek, to przewód pokarmowy i przewód — sit venia verbo — przewód reprodukcyjny. Jego najważniejszemi budowlami były i są: haremy i śpichlerze, czyli ziemia i sprawy ziemskie. Państwo, granica, rząd, armja. Zatarg wojenny jest ostatecznie zawsze zatargiem gospodarczym, w którym chodzi o bogactwo śpichlerzy i komfort haremów.

Dzisiejszy mężczyzna może tylko wyczuwać niejasno, jakie rozkosze czekają jego potomka, który będzie kochał i będzie kochany przez kobietę wolną, niezależną od niego i jego pensji miesięcznej. Jakież to będzie obcowanie wolnego człowieka z wolną panią! Miłość już nie będzie przykuta do mężowskiej posady, do składek na Kasę Chorych i do warunków, które się małżonkom przeżyły. Każda miłość pragnie być wieczną i byłaby nią, gdyby nie fatalne warunki gospodarcze świata współczesnego. Iluż to ludzi kochających się głęboko i mocno, musi się rozejść z żalem i płaczem, jedynie dlatego, że chleb jednego jest tu, chleb drugiego tam, albo że jedno z nich przywiązane jest do czyichś bardzo dzikich pretensyj.

Miłość! Cóż za wielkie słowo! Któż nie wie o tem, że najwięcej piękna moralnego i artystycznego, bohaterstwa i poświęcenia, rodzi się w objęciach kochanki i idzie w szeroki świat z tych właśnie objęć „złego obyczaju"? Ale „dobry" obyczaj uczynił z kobiety wiekuistą Marję Egipcjankę, która za wszystko płacić musi swemi wdziękami, bo społeczeństwo pozbawiło ją majątku i wolności. Człowiek pragnie być dobry, serdeczny, tkliwy dla kobiety wybranej, a przez nią dla całego świata, ale policja pyta, czy ma odpowiednie środki na luksus dobroci, na wspaniałomyślność miłości? I tu jest zagadnienie zagadnień wszelkiej reformy obyczajów. Dobre obyczaje muszą być wolne i nieprzymuszone. Ale człowiek wolny musi mieć zabezpieczony byt. Miłość i kapitalizm — to rozdział, który warto napisać.

Paweł Hulka-Laskowski

ODGŁOSY

RYCERZE HANDLU

Najlepiej prosperującem wydawnictwem w Polsce jest pisemko p. n. *Rycerz Niepokalanej*, wydawane przez OO. Franciszkanów. Kto tego pisemka nie widział, nie wie jeszcze, co można drukować w stuleciu XX-tem i na jakim poziomie znajduje się jeszcze *setki tysięcy czytelników*. Głównem źródłem poważnych zarobków *Rycerza Niepokalanej* jest pośrednniczenie pomiędzy prenumeratorami a niebem. Prenumeratorzy przysyłają z całej Polski datki za załatwianie im w niebie rozmaitych spraw i interesów.

Obecnie administracja *Rycerza Niepokalanej* przesyła tysiącom swoich czytelników buteleczki z „cudowną" wodą. W odezwie załączonej do przesyłki — objaśnienie: „Gdy się cierpi na chorobę wewnętrzną, można napić się tej wody; jeżeli zaś zewnątrz coś dolega, można zwilżyć nią chore miejsce. Chorzy na duszy i ciele doznają przedziwnej pociechy i wiele nadzwyczajnych uzdrowień."

Za tę wodę administracja *Rycerza Niepokalanej* pobiera ofiary dobrowolne, co bynajmniej nie pomniejsza zysków przedsiębiorstwa: ofiary płyną ze wszystkich stron kraju.

Jeżeli „cudowna" woda pomoże — to dobrze, jeśli nie, to też dobrze. Czytamy bowiem w wezwaniu: „Gdy jednak, mimo użycia cudownej wody i długich modlitw, poprawa nie następuje — nie trzeba tracić nadziei, ani narzekać, gdyż Pan Bóg, jako najlepszy nasz Ojciec i Niepokalana Matka najlitościwsza najlepiej wiedzą, co nam do zbawienia pożyteczniejsze: zdrowie, czy choroba. Dlatego też nie wysłuchują naszych próśb wtedy, gdyby otrzymana łaska miała zaszkodzić duszy".

Interes jest pomyślany sprytnie, tak sprytnie, że należałoby się zastanowić, czy czasem nie należy do takich, których prawo nie toleruje...



TRAGEDJA AKTORÓW

Uwagi nasze o mnożeniu się teatrów, z których większość skazana jest na nieuniknione bankructwo, wywołały replikę na łamach *Tygodnika Ilustrowanego*, który pisze m. in.:

...„Większość przedsiębiorstw teatralnych nie zawiązuje się pod hasłem zysku, ale przetrwania, przetrwania już nie dla sztuki, którą reprezentują, ale dla zespołu, który pragnie nie umrzeć z głodu".

Tak jest: w wielu wypadkach organizowanie nowego teatru tem się tłómaczy, że bezrobotni aktorzy chcą się jakoś ratować. Lecz motyw ten oceniamy inaczej, niż *Tygodnik Ilustrowany*. Skoro „większość przedsiębiorstw teatralnych nie zawiązuje się pod hasłem sztuki", lecz dla ratowania aktorów od nędzy i głodu, sprawa — przez to samo — nie należy do zagadnienia współczesnego teatru, lecz do kwestji ubezpieczeń społecznych, Funduszu pracy i t. p.

Tonący brzytwy się chwyta, lecz brzytwa nie ratuje tonącego. Zakładanie nowych teatrów nie jest drogą ratunku, lecz beznadziejnem szamotaniem się ludzi, którzy na tej drodze nie utrwalą już swego choćby najskromniejszego bytu: publiczność nie chodzi do teatru po to, żeby aktorzy mieli z czego żyć. Mówiąc językiem handlowym, rynek jest przesycony produkcjami wczorajszego, zaśniedziałego teatru, kto zaś produkuje ponad rzeczywiste potrzeby, musi zginąć. Ratunkiem istotnym dla aktorów będzie nowy teatr, odpowiadający nowym potrzebom. Wszystko przemawia za tem, że teatr taki powstanie, choć dziś jeszcze rysuje się w kształtach niewyraźnych, mimo tylu różnych eksperymentów.

Obecnie jesteśmy świadkami tragedji aktora w okresie głębokiego przełomu również i w tej dziedzinie — w teatrze.

Nadzieja „przetrwania kryzysu" w starych formach i starej treści jest płonna. Na tem, między innemi, polega tu kryzys, że dawny teatr nie odpowiada dzisiejszym przeobrażeniom psychicznym. Hasło „przetrwania" przy trzymaniu się ducha dawności jest tu znowu tragicznym błędem: utrwala rzeczy przebrzmiałe, a przez to przyczynia się do *pogłębienia* kryzysu.

J. W.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

PRACA MŁODOCIANYCH

Ostatnie lata kryzysowe zahamowały ustawodawczą działalność państwa w zakresie ochrony pracy, a nawet zagroziły utratą niektórych osiągniętych już zdobyczy. W dziedzinie natomiast ochrony młodzieży pracującej, polityka państwa rozwijała się nadal, niezależnie od sytuacji ekonomicznej, a raczej właśnie w związku z tą sytuacją. Kryzys i wzrastające bezrobocie wyjaskrawiły bowiem liczne zjawiska w dziedzinie pracy młodocianych, które w okresie normalnej konjunktury występują mniej wyraźnie. Lata 1930 — 1933 wniosły nowe, ważne postanowienia do ustawodastwa o ochronie młodzieży pracującej, choć nie wyczerpują one wszystkich postulatów racjonalnej i konsekwentnej polityki społecznej. Wydane rozporządzenia i przepisy prawne stanowią jednak cenną — mimo skromnych rozmiarów — pozycję w polityce socjalnej państwa polskiego. Są one przedmiotem broszury p. Janiny Miedzińskiej, która charakteryzuje politykę państwa polskiego wobec młodzieży pracującej w latach 1930 — 1933 *).

Autorka stwierdza, że dopiero wzrastające cyfry bezrobocia i coraz trudniejsza sytuacja na rynku pracy unaoczniły wadliwą strukturę stanu zatrudnienia w przemyśle. Przedewszystkiem chodzi tu o nadmierny rozrost pracy młodocianych. Stosunek młodocianych do ogółu zatrudnionych robotników przekraczał w niektórych gałęziach przemysłu 20%. Przyczem w okresie przesilenia następuje stały wzrost odsetka młodocianych przy równoczesnym spadku odsetka zatrudnionych dorosłych. Młodzi pracownicy wypierają starszych. U podstaw tego zjawiska leży handlowa kalkulacja przedsiębiorstwa, pogoń za tańszym robotnikiem, a więc ten sam czynnik, który przesądził o masowem zużytkowaniu pracy dzieci, młodzieży i kobiet. Działalność inspekcji pracy w kierunku zmniejszenia udziału młodocianych w pracy przemysłowej i zastąpienia ich pracą dorosłych żywicieli rodzin, znalazła niespodzianie sojusznika w — kryzysie gospodarczym. Dorosły robotnik w obliczu nędzy, zagrożony bezrobociem — godzi się na obniżkę płac do poziomu, na jakim dotychczas znajdowały się jedynie zarobki młodocianych.

W opinjach, wydanych z powodu projektowanych rozporządzeń o ograniczeniu liczby młodocianych w przemyśle, przedstawiciele organizacyj przemysłowców, wyraźnie przyznali, że „gorzej postawione technicznie zakłady opierają swą egzystencję na pracy młodocianych". Jasnem więc jest, że nadmierny rozrost pracy młodocianych opiera się głównie na ich wyzysku — jako elementu słabszego, mniej opornego i mniej zdolnego do walki o należne prawa.

Ograniczenie pracy młodzieży było oddawna już uznaną zasadą polityki społecznej państwa. Dopiero jednak konieczność zatrudnienia większej ilości dorosłych żywicieli rodzin zadecydowała o realizacji tej zasady w formie ustawy, wprowadzającej metodę ustalania procentowego stosunku młodocianych do ogółu zatrudnionych robotników. Dotychczas ukazały się rozporządzenia wykonawcze tylko dla przemysłu poligraficznego i hut szklanych, jako specjalnie groźnych dla zdrowia młodzieży. Rozporządzenia te uważać należy za początek jedynie uzdrowienia stosunków w tych przemysłach.

*) *Janina Miedzińska:* Polityka państwa wobec młodzieży pracującej. 1930 — 1933. Nakładem Min. Opieki Społecznej. Warszawa, 1933.

Skolei omawia p. Miedzińska ustawowy zakaz bezpłatnej pracy i pobierania opłat za t. zw. naukę zawodu, która jest w dzisiejszym okresie rozwoju techniki wytwórczej anachronizmem. Tajemnica tego wygodnego dla przedsiębiorcy przeżytku kryje się w tem, że pod pretekstem „nauki zawodu" zatrudnia się pracownika przez szereg lat bezpłatnie, a często pobiera się nadto od niego „dopłatę za naukę".

Obok powstrzymania nadmiernego rozrostu pracy uczniów w przemyśle i rzemiośle, wysunęła się potrzeba uregulowania sprawy umów o naukę, zawieranych z uczniami.

Z materjału, zebranego przez inspekcję pracy, wynika, że liczne przedsiębiorstwa przenoszą tradycje dawnego, cechowego rzemiosła do wielkiego przemysłu. Umowy ograniczają osobistą swobodę ucznia w fabryce i poza nią, niejednokrotnie sprzeczne są z przepisami w zakresie ochrony pracy, zawierają postanowienia, krzywdzące uczniów, nie nakładają natomiast żadnych zobowiązań na pracodawcę. Akcja uzdrowienia tych nienormalnych stosunków nie przekroczyła narazie ram projektu, opracowanego przez Ministerstwo Opieki Społecznej.

Wyniki badań lekarskich wskazują wyraźnie, jak niezbędną jest rozbudowa ochrony zdrowia pracującej młodzieży. Według danych za rok 1931-y 28,7% ogółu zbadanych pracowało z podwyższoną temperaturą! Badania, przeprowadzone w Łodzi, ujawniły, że tylko 44,6% młodocianych miało temperaturę normalną, a 17% miało ciepłotę 37,4° do 38 stopni!

Akcja badań lekarskich objęła tylko 23 ośrodki przemysłowe Polski. Reszta natomiast pracującej młodzieży pozbawiona była opieki lekarskiej. Pojawia się tu przytem ważkie w przykre następstwa zagadnienie: jeśli lekarz orzeknie niezdolność młodocianego do pracy, czy wówczas zaprzestanie pracy ze względów zdrowotnych jest dobrodziejstwem dla przyszłego bezrobotnego? Bynajmniej. Młodociany traci zarobek i opiekę Kasy Chorych — nic wzamian nie otrzymując. Ochrona zdrowotna wymaga tu niezbędnego uzupełnienia przez zorganizowanie opieki społecznej nad młodzieżą, usuniętą z pracy naskutek orzeczeń lekarskich. A opieka ta pozostaje dziś w sferze postulatów.

Broszurę swą kończy p. Miedzińska omówieniem kilku postulatów dalszego rozwoju polityki państwowej w zakresie ochrony pracującej młodzieży. Wysuwa postulaty — przymusu państwowego pośrednictwa pracy młodocianych, przedłużenia wieku szkolnego o jeden rok, celem uzgodnienia z wiekiem rozpoczynania pracy zarobkowej, organizacji poradnictwa zawodowego i badań psychotechnicznych, oraz opieki społecznej nad młodzieżą, pozbawioną pracy. Autorka przytacza tu słowa jednej z inspektorek pracy, według których opiekę tę należy urzeczywistnić „pod grozą odpowiedzialności (państwa) za dziedzictwo, jakie wniesie młodzież do kultury społecznej jutra".

Z danych cyfrowych i materjałów ankietowych, przytoczonych przez p. Miedzińską, wynika, że przepisy prawne i rozporządzenia, normujące warunki pracy młodocianych, stanowią jedynie nikłą część racjonalnej działalności, która objęłaby całokształt stosunków i zaspokoiłaby najbardziej choćby palące potrzeby z zakresu opieki nad pracującą młodzieżą.

Ryszard Oborski

NIEKTÓRE STRONICE

Nowa powieść... Może dobra... Nazwisko nie jest „firmą", ale kto wie, zdarza się... Trzeba zobaczyć.

Tak sobie myślimy, biorąc do ręki niejedną książkę — bez uprzedzenia i bez wielkich nadziei. Czyta się kilka stronic. Miłe zdziwienie: dobre, owszem. Po kilkunastu stronicach: wcale interesujące. I dalej: oryginalne, zastanawiające, brawo! Albo — w innym wypadku: już po pierwszych stronach widać, że to rzecz niedobra, albo zgoła fatalna. I nie czytamy dalej. W takim właśnie wypadku bywamy czasem niesprawiedliwi. Spoczątku praca mogła iść autorowi opornie, mogło się tam nawet zakraść parę błędów językowych i nieporadności stylistycznych. Sporo mamy powieści z niedobrym początkiem, ale dobrych w całości.

Więc — eksperyment. Oto nowa powieść: „Przygoda w nieznanym kraju".*) Na pierwszych dziesięciu stronach takie kwiatki:

„Szedł ku wyjściu pod światłem elektrycznych lamp, w gwarze i masowym pośpiechu przyjezdnego tłumu, nie podlegając zbiorowemu podnieceniu dojechania, spieszenia się, ciśnięcia, wyprzedzania".

„Doznał chwili przyjemnego — i lekceważącego— odnalezienia starej budy".

„Dlatego nie podnosił nawet, że jeden z tych pokoi był bardzo mały".

„Przymus słyszenia i mówienia o rzeczach rodzinno-przykrych".

„Szczególna instytucja to „bycie znajomym" — nic się zresztą może o sobie nie wiedzieć, ale uprawnia do odezwania się, spytania i obustronne przyzwolenie na naruszenie osobności, czy strefy izolującej".

„Usiadła bez entuzjazmu, z konieczności obyczajowej".

„On zaciągał się dymem ze spokojnem używaniem".

Po takich kilku stronicach powiadamy sobie: nie, dalej czytać tego nie można. Ale chcemy być sumienni, skoro mamy napisać recenzję. Ciężka sprawa: czytać nie można, bo to męczy, a trzeba napisać, wydać sąd. Więc — w imię ostrożności sądu — takie wyjście: będziemy czytali co dziesiątą stronicę.

Str. 20-ta: „Ciche kroki idącej trójki głośno odbrzmiewały".

Str. 30-ta: „Szlochała, wstrzymując się i chwytając Klarę za ręce; puszczała ją, aby wymaczać oczy i chwytała znowu".

Str. 40-ta: „Klara miała odruch, aby wyrównać poduszkę, umożliwiając głowie odchylenie się w tył, do naturalnej pozycji"... „Pani Wyszoborska, której widocznie nie uderzyła ta nienaturalność pozycji, narzucająca się Klarze, jako niewygoda i przykrość dla zmarłej".

Str. 50-ta: „Ale chwilami, słuchając, myślała: — „a może i naprawdę?" — nabierając otuchy". „Klara była podzielona między współczucie ex post, a ostrożność w przyjmowaniu tych pijanych obecną chwilą twierdzeń".

Str. 60-ta: „Jej równowaga, zawsze chwiejna, jak płomień na wietrze, z nadmiaru przejęcia, ratowała się instynktownemi chwytami".

---

*) *Aniela Gruszecka:* Przygoda w nieznanym kraju. Powieść współczesna. Nakładem wydawnictwa „Kobiety współczesnej". Warszawa, 1933.

Str. 70-ta: „Potem, stojąc na za grubych w łydce, a połyskujących w jedwabnych pończochach nogach"...

Str. 80-ta: „Kołysał się odruchowo na podeszwach, jak w niestałej równowadze"... „P. Pielech, nie tracąc czasu, postąpił w głąb salonu"...

Str. 90-ta: „P. Godziemba-Nowicka była przerażona i stała na linji między oboma".

Już brak cierpliwości. Powieść ma 344 stronice. Należałoby tedy przeczytać jeszcze dziesiątą część reszty, t. j. jeszcze 25 stronic. Ulżyjmy sobie cokolwiek: czytajmy dalej co dwudziestą stronicę.

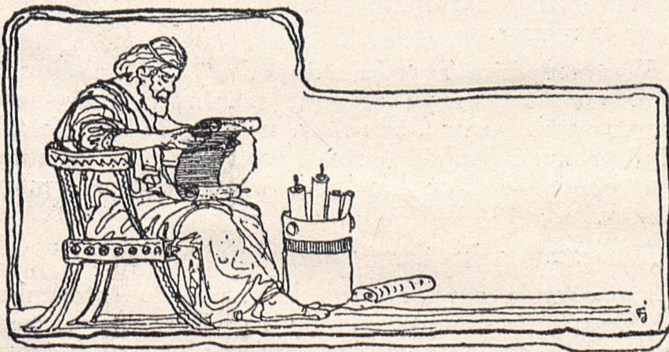
Str. 120-ta: „Poczuła z doświadczeniem, nabytem przez długi ucisk i wymęczenie daremnością, ruszenie się hipnotycznego zastanowienia śmiercią".

Str. 140-ta: ...„niema czem go przytrzymać, zrozumieć na własność"...

Str. 160-ta: „Podziw i wdzięczność Klary, któreby w razie świadomego działania pani Bielskiej uległy przeróżnym wahaniom i oporom, aż do zupełnego zahamowania i nieufności włącznie, teraz, sięgając poza tę cudzą świadomość, robiły to z taką niczem niekrępowaną swobodą i zajęciem, jakby miały za przedmiot nie osobę, ale rzecz, nieznane a ciekawe zjawisko przyrody, względem którego można się poddawać wzruszeniom badacza bez żadnych zastrzeżeń i żadnej cenzury, prócz wynikłej z poprawek wprowadzonych przez bezstronne badanie".

Dosyć! Nie czytamy dalej. A może mamy szczególnego „pecha"? Może tylko na tych stronicach — tyle błędów, dziwolągów, okropności? Może. W takim razie będziemy niesprawiedliwi, ale nie stać nas na jeszcze więcej dobrej woli.

M. Czarnowski



PRZYCZYNKI DO SPRAWY REFORMY OBYCZAJÓW

Z DZIAŁALNOŚCI OBYWATELSKIEGO KOMITETU POMOCY SPOŁECZNEJ

Obywatelski Komitet Pomocy Społecznej w Warszawie wydał obszerne sprawozdanie ze swej działalności za czas od 1 kwietnia 1932 r. do 31 marca 1933 r. Znajdujemy tu sporo pouczającego materjału o pracy społecznej w środowiskach najkrańcowszej nędzy. W kilku miejscach sprawozdania położono nacisk na to, że działalność Komitetu nie jest filantropijna — w dawnym sensie tego określenia — ale społeczna, mająca za zadanie trwałe podźwignięcie materjalne i moralne tych, nad którymi opiekę roztacza. Z przytoczonych danych widać, że sporo dobrego w tym kierunku uczyniono.

Pracownicy Komitetu stykają się z wielostronną tragedją nędzy. W sprawozdaniu znajdujemy też różne godne uwagi przyczynki do sprawy reformy obyczajów, np. w dziale opieki prawniczej. Kierownik tego działu, adw. Michał Orzęcki, pisze m. in.:

„Społeczeństwo zupełnie nie zdaje sobie sprawy z bezmiaru nędzy i bezbronności opuszczonej, a zwłaszcza nieślubnej matki i jej dziecka. W Warszawie zakłady zamkniętej opieki są przepełnione setkami i tysiącami dzieci, których utrzymanie obciąża społeczeństwo, jeszcze większe liczby ich wałęsają się literalnie pod płotem. Tymczasem dzieci te często posiadają zupełnie określonych ojców, którzy mogą i powinni je utrzymywać. Że temu obowiązkowi nie dzieje się zadość — przyczyną dotychczas jest zupełna nieporadność i brak pomocy prawniczej po stronie matek. Zważyć należy, że olbrzymia większość nieślubnych matek w Warszawie — są to służące — w masie swej element o niskim poziomie intelektualnym, słabo rozwiniętej woli, absolutnej nieznajomości swoich praw. Przeważnie dzieci ich są owocem stosunków seksualnych zupełnie dorywczych i przypadkowych. A więc ojcami są najczęściej żołnierze, synowie chlebodawców, rzadziej sami chlebodawcy, często przypadkowi goście chlebodawców. Mowy niema o tem, aby taką sprawę tego rodzaju kobieta sama potrafiła przez Sąd przeprowadzić".

Komitet prowadzi również Poradnię ginekologiczną. Kierownik jej, dr. Edward Birzowski, pisze:

„308-u osobom udzielono w roku sprawozdawczym 486 porad lekarskich, oraz porad z zakresu higjeny (ciąży, macierzyństwa).

„Blisko 70% cierpiało na fluor i na nadżerki części organów rodnych. Dość częstym powodem zgłaszania się kobiet było zatrzymanie się menstruacji. Nietrudno wyobrazić sobie rozpacz ich, gdy dowiadywały się (około 60% karmiących), że są w ciąży. Same bezrobotne, lub jako żony bezrobotnych, które przechodziły już po 6—8, 10 porodów, oraz prawie bez wyjątku 2, lub kilka poronień (sztucznych lub samoistnych) wprost drżały na samą myśl powiększenia się liczby głodującego już potomstwa. Ciężka jest sytuacja w takich wypadkach lekarza, stojącego bezradnie wobec okropnej rzeczywistości. Cóż z tego, iż taką wynędzniałą kobietę skieruje się do specjalisty chorób płuc, serca lub nerek, celem otrzymania zezwolenia na ewentualne przerwanie ciąży. Świadectwa takie zwykle wydawane są tylko w tych wypadkach, gdy choroba jest zbyt daleko już posunięta. To też kobiety wolą uciekać się do innych sposobów pozbywania się niepożądanej ciąży. Czynią to za pośrednictwem „babek" pokątnych i wkrótce zgłaszają się do poradni, ale już z powodu krwawienia lub gorączkowania".

Zarówno wywody p. adw. Orzęckiego, jak i p. d-ra Birzowskiego prowadzą do wniosku, że Obywatelski Komitet Pomocy Społecznej w Warszawie powinien założyć Poradnię Świadomego Macierzyństwa, albo wydatnie poprzeć już istniejącą (przy ul. Leszno Nr. 23).



TYDZIEŃ KSIĄŻKI POLSKIEJ

Przed kilku laty w Związku Zawodowym Literatów w Warszawie powstała myśl ustanowienia dorocznego święta literatury i książki polskiej, w celu stałego przypominania szerokim warstwom znaczenia literatury, jej potrzeb i obowiązków względem niej kulturalnego społeczeństwa oraz dla propagandy książki i czytelnictwa w najszerszym zakresie. Choć inicjatywa ta spotkała się z poparciem organizacyj księgarskich i wydawniczych realizacja jej siłami samych stron zainteresowanych okazała się niemożliwą i rzecz cała upadła, z niewątpliwą szkodą dla sprawy, której służyć miała.

W r. b. inicjatywę tę, ograniczoną wprawdzie do jednorazowego obchodu, ale za to o znacznie rozszerzonym programie i zasięgu, podjęło Ministerstwo WR. i OP., powagą swoją i środkami dając rękojmię realizacji tej imprezy.

Powołano do życia Komitet Główny Tygodnia Książki Polskiej, złożony z komitetów—honorowego i wykonawczego. Temu ostatniemu przewodniczy Wacław Sieroszewski, należą zaś doń prezesi organizacyj literackich, wydawniczych i księgarskich, przewodniczący wszystkich sekcyj, oraz przedstawiciele Ministerstw WR. i OP. i Spraw Wewnętrznych.

Tydzień odbędzie się w czasie od 26 listopada do 3 grudnia włącznie.

Cele jego konkretyzują się w: 1) spotęgowaniu czytelnictwa; 2) wzmożeniu zainteresowania współczesną literaturą polską i 3) zwiększeniu pokupności książki.

Akcja objąć ma nietylko stolicę, ale całe państwo i w tym celu we wszystkich miastach polskich i większych gminach wiejskich powstać mają komitety prowincjonalne, zwołane z inicjatywy czynników samorządowych lub rządowych, ewentualnie tam, gdzie się to okaże niemożliwem, zorganizowany będzie odczyt informacyjny w dniu święta książki. Komitet główny wystosował już okólnik do województw, kuratorów okręgów, prezydentów miast i t. d. w sprawie utworzenia komitetów wojewódzkich, do których z kolei będzie należało powołanie komitetów powiatowych, miejskich lub gminnych. W ten sposób całe państwo pokryte będzie siecią organizacyjną.

Komitet Wykonawczy rozpada się na 15 autonomicznych sekcyj: finansową, prasową, odczytową, radjową, szkolną, wydawniczą, działu plastyczno-graficznego, czytelniano - bibljoteczną, wystawy objazdowej, filmową, wojskową, propagandy ulicznej, wystawową, akademji, aukcji i loterji, wreszcie teatralną.

Na program tygodnia złożą się imprezy o pewnej ciągłości 7-dniowej i akcja jednodniowa, skupiona w dniu święta książki.

W zakresie wydawnictw projektowane są propagandowe karty korespondencyjne z fotografjami współczesnych autorów polskich, krótkiemi życiorysami i bibljografją, specjalne karty artystyczne, plakaty, naklejki, ulotki aeroplanowe, wydanie „Książki o książce" z artykułami literatów o książce lub o swoich własnych książkach, wreszcie wydanie osobnych odznak.

Na ekran rzucony zostanie film propagandowy o książce, od chwili powstania pomysłu przez wszystkie fazy aż do rozsprzedaży książki. Ozwierciedli on zarówno pracę pisarza, jak i techniczną produkcję książki.

Wystawy nie ograniczą się do samych książek, lecz obejmą również autografy, exlibrysy, winiety, wykresy graficzne czytelnictwa, cykl grafikonów, popularnych obrazowych statystyk (np. światowego zasięgu dzieł Sienkiewicza), portrety pisarzy, obrazy związane z książką, oryginały ilustracyj wybitnych dzieł, a oprócz tego przewidziana jest wystawa objazdowa w specjalnym pociągu propagandowym.

Na wielkiej akademji — aukcji rozsprzedanoby autografy niektórych dzieł, ofiarowane przez autorów na dochód komitetu. Pewną atrakcją byłaby również loterja książki popularnej i bibljofilskiej.

Księgarnie i niektóre inne sklepy poświęciłyby w Tygodniu Książki swe witryny specjalnej propagandzie książki. W okresie tym przeprowadzona będzie akcja werbunkowa abonentów czytelń na zniżonych warunkach, zorganizowane wycieczki do wielkich bibljotek polskich, w pismach rozpisane zostaną ankiety na tematy czytelnictwa i w całej Polsce wygłoszone będą odczyty, ilustrowane wyświetlaniem filmu propagandowego lub odpowiednich przezroczy. Opracowywanie wzorowych odczytów propagandowych kilku typów już jest w toku.

Nie zaniedbano akcji w radio, w armji i wśród młodzieży. Wśród tej ostatniej rozpisany będzie konkurs lektury prywatnej współczesnej powieści polskiej, ogólno - polski konkurs recytacyjny współczesnej poezji polskiej lub prozy, w którym laureaci szkół braliby następnie udział w ogólnym turnieju danego miasta.

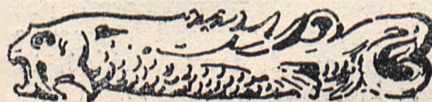
W przededniu Tygodnia, t. j. dn. 25 listopada odbędzie się capstrzyk orkiestr szkolnych, instytucyj wojskowych i zawodowych, a w dniu Święta Książki, 3 grudnia, pochód groteskowo ujęty przy pomocy plastyków, uczniów Akademji Sztuk Pięknych i młodzieży.

Oto ramy, zakreślone temu obchodowi.

Propaganda czytelnictwa, kulturalnego stosunku do książki, zamiłowania do niej jest pożyteczną w każdem społeczeństwie, a w naszem, w którem kult książki jest słabo rozwinięty, akcja taka ma tem donioślejsze znaczenie i życzyćby należało, aby nie miała charakteru imprezy jednorazowej, lecz prowadzona była stale, systematycznie i ponawiana co roku.

Może wówczas wpoiłoby się w najszersze warstwy świadomość, że książka jest najlepszym i nieodzownym przyjacielem, który uczy, pociesza, uszlachetnia, rozwesela, że należy ją nietylko kochać, kupować, oprawiać, kolekcjonować, szanować, nie pożyczać, ale i czytać, oraz zapisywać swe księgozbiory instytucjom publicznym, aby i inni mogli z nich korzystać.

St. Czosnowski



DROGI HISTORJI

(Ciąg dalszy).

Wielce charakterystyczny był atak paru historyków niemieckich na spokojne i skromne wywody prof. Tymienieckiego o współdziałaniu żywiołów tubylczych w urbanizacji Europy środkowej (w dyskusji nad referatem prof. Koebnera, Wrocław — „Die Entstehung des Städtewesens in Mitteleuropa").

Równie dobrze rozumiemy podłoże aktualne referatu prof. J. Toutain (Sorbona), który z oburzeniem odpierając teorję o pionierskiej roli cywilizacyjnej Germanów, Galję robi źródłem cywilizacji europejskiej i nawet Franków dla owej Galji rewindykuje i na sztych ich przeciw Niemcom wystawia, głosząc, że „Karol W. nie jest Germaninem, który się stał panem Galji — to reprezentant, champion cywilizacji starożytnej przeciw nowym natarciom Germanji", spadkobierca Augusta w walce przeciw barbarzyńcom germańskim. Albo — brawurowa apologja kulturtregerów hiszpańskich z w. XVI, obrona Hiszpanji przed wiekowym „la plus colossale erreur judiciaire que l'histoire ait connue". Autor, R. Leviller, jest dyplomatą argentyńskim. By zrozumieć sens jego badań naukowych, wystarczy rozejrzeć się w polityce międzynarodowej Ameryki łacińskiej i jej starej metropolji.

I trudno nam podzielić piękne złudzenie prof. G. Rittera (Fryburg) co do łagodzącego wpływu rozwoju nauk historycznych. Wręcz przeciwnie: w miarę wzmagania się natężenia kryzysu światowego, w miarę zaostrzania się przeciwieństw gospodarczych i społecznych, historja jako narzędzie walki— z wolą, czy bez woli uczonych — współdziała w ich zaostrzaniu i we własnem łonie zaostrza konflikty teoryj, metod i hypotez. Wiemy dobrze, jaką rolę odgrywa tu sam choćby układ faktów, czy oświetlenie subjektywne nawet przy identyczności metod konstruktywnych. Ale to nie wszystko. Dzień dzisiejszy to przedłużenie linji dnia wczorajszego. Współczesność — to produkt przeszłości. W groźnych chwilach przełomu w niej instynktownie szukamy źródeł i wyjaśnień otaczającego nas prądu faktów. Dlatego np. dzisiaj, w momencie załamania się wiary w system wartości, reprezentowanych w obecnym ustroju świata, myśl badawcza uparcie zawraca ku ostatniemu wielkiemu kryzysowi cywilizacji europejskiej, ku upadkowi świata starożytnego. Czerpie zeń swe proroctwa Spengler i Friedell tworzy z jego schematu kościec swej syntezy cywilizacji nowoczesnej. Historjografja świata antycznego coraz wyraźniej skupia się wokół tego zagadnienia, które niegdyś, w epoce przedrewolucyjnej, postawiła Europie przenikliwa myśl Monteskjusza. Dziś uczeni tej miary, co Cicotti, Barbagallo, Rostowcew, przeprowadzają gruntowną rewizję dotychczasowych koncepcyj. I to rewizję, w której aż nazbyt wyraźnie pobrzmiewają echa współczesności. Jakże aktualnie brzmią np. wywody C. Barbagallo (Neapol), który ostateczne przyczyny upadku imperjum widzi w etatyzmie i wynikającym zeń zaniku inicjatywy prywatnej („Il problema della rovina della civilta antica").

Historyk niech bada system stosunków międzynarodowych — woła G. Zeller (Clermont-Ferrand). Ustalanie faktów pozostawmy erudytom, historyk to twórca syntezy — uogólnia postulat Zellera Fred Morrow Fling. Przełom naszego życia kazał nam szukać w historji właśnie syntez, syntez możliwie najogólniejszych, schematów rozwojowych, umożliwiających nam per analogiam objektywną analizę współczesności? A więc: Historia magistra vitae? stare hasło, komunał tylekroć zwalczany? Prawda — nie w jednostkowych faktach poszukuje się teraz wzorów działania. Szukamy praw historji, które rządziły przeszłością i w myśl prawa ciągłości nam wyznaczają drogi przyszłe.

Albowiem na dnie tych badań, w najrewolucyjniejszych nawet wnioskach, w teorjach antytradycjonalistycznych (np. w marksizmie) tkwi niezłomne, instynktowne przekonanie o ciągłości łańcucha przyczyn i skutków ludzkiego działania. Przekonanie, które leży u podstaw tych nawet teoryj, które zaprzeczają historji wszelkich praw immanentnych, ujmując ją jako syntezę faktów indywidulanych i sensu tej syntezy szukać każą w czynnikach pozahistorycznych (Fred Morrow Fling, Lincoln, U. S. A. — „Historial synthesis") — np. w idei Boga, która — jak zauważył W. P. Wołgin (Leningrad) w dyskusji nad referatem H. Berra (Paryż), głównego głosiciela idei syntezy, stanowi konieczne korollarjum metafizyki historycznej.

W obliczu kryzysu ludzkości, kryzys przeżywa również jej historja. W dziejach Europy kończy się okres liberalizmu gospodarczego i politycznego; w dziejach historjografji — okres swobodnej twórczości artystycznej. Niedarmo dziedzinę biografji, dziedzinę faktów indywidualnych, przejmują powieściopisarze. Reglamentacja gospodarcza, dyktatura polityczna — jednem słowem normalizacja sił twórczych. W historji — dążenie do prawa, do normy konstruktywnej. Zagadnienie praw w historji to dzisiaj nie oderwana spekulacja, lecz palące zagadnienie życiowe. Nic dziwnego, że gdy 10 lat temu, na kongresie w Brukseli, sekcja metody i teorji historji — w znacznej mierze twór H. Berra — z trudem zgromadziła paru referentów i coś około tuzina słuchaczów, w Warszawie audytorjum sekcji skupiło najwybitniejszych prelegentów, było widownią najżywszych debat i z ledwością mogło pomieścić cisnące się tłumy słuchaczów.

Prawda, znaczną część zainteresowania trzeba położyć na karb sensacji, jaką stanowiło zapowiedziane wystąpienie uczonych sowieckich (Preobrażenskij, Wołgin, Żukin, Gorin). Ale jeżeli pominiemy naturalną ciekawość, jaką wzbudzały nazwiska i pierwsze ich oficjalne wystąpienie na międzynarodowem forum naukowem, istotnym przedmiotem zainteresowań była reprezentowana przez nich teorja historji. I nic dziwnego. Marksistowski materjalizm djalektyczny jest jedyną metodą historyczną, która zespala całość faktów historycznych i wszystkie dziedziny historji w jednolitą syntezę. A przecież wzmagający się nacisk kryzysu ekonomicznego nietylko na życie społeczne i polityczne, ale i na strukturę wartości duchowych, z nieprzepartą siłą narzuca myśli badawczej ideę organicznego związku między zjawiskami tych, dotychczas autonomicznie ujmowanych, dziedzin działalności ludzkiej, ideę, która znowuż pod naciskiem faktów życia współczesnego niejednego opornego prowadzi na drogi materjalizmu djalektycznego. Nie od rzeczy bowiem będzie wspo-

mnieć o argumencie „pozanaukowym", który niemniej jednak zaważył na szali przekonań, o fakcie praktycznego urzeczywistniania na obszarze 1/6 lądu ziemskiego porządku życia, opartego na przesłankach przez tę właśnie metodę dostarczonych. Metoda materjalizmu djalektycznego umożliwiła a priori wykreślenie linij rozwoju historycznego i linje te wciąż w przyszłość przedłuża, oznajmiając urzeczywistnienie tego najwyższego celu nauk historycznych (Żukin).

Materjalizm staje się decydującym czynnikiem myśli historycznej nietylko w Sowietach, ale i w nauce burżuazyjnej — stwierdza jeden z najwybitniejszych jego przeciwników, W. Keilhau (Oslo).

Wpływ ten przejawia się zresztą nietyle w teorji, ile w pracy monograficznej. Przyznanie się do teorji równa się dziś zajęciu określonej pozycji społecznej; zastosowanie metody dla zbudowania poszczególnego zagadnienia nęci osiągalnością niemożliwej przy innej metodzie syntezy, a nie zmusza do deklaracji ideowej. Więcej jeszcze — napór materjalizmu przejawia się w twórczości tych nawet badaczów, którzy teoretycznie przeciw niemu się zwracają. W rezultacie — świadomie, czy nieświadomie — materjalizm historyczny wciela się w coraz szersze kręgi badań naukowych.

(dok. nast.) *Dr. Marek Wajsblum*



N I E D Z I E L A

FRAGMENT POWIEŚCI*)

Pewnej niedzieli, gdy nie miałem dyżuru, wyszliśmy razem. Na rogu bulwaru Wspaniałomyślnego wstąpiliśmy do kawiarni wypić sobie na werandzie cassis i diabolo. Mało się do siebie gadało, niewiele mieliśmy już sobie do powiedzenia. Przedewszystkiem, naco słowa, gdy się wie, co się wzajem o sobie myśli? Wymyślania i tyle. W niedzielę niewiele przechodzi autobusów. Z werandy to jest prawie przyjemność widzieć przed sobą bulwar czysty, też odpoczywający. Z tyłu był gramofon traktjerni.

— Słyszysz? odezwał się Robinson. Gra melodje amerykańskie, jego fono; poznaję te melodje, to te same co grali w Detroit u Molly...

Przez te dwa lata, co tam spędził, nie zapoznał się bliżej z życiem Amerykan, jednakże pozostawił na nim pewne wrażenie ich rodzaj muzyki, gdzie i oni próbują porzucić swoje ciężkie nawyknienia i gnębiący trud robienia codziennie tej samej rzeczy i podrepcą sobie trochę z życiem, które nie ma sensu, póki to gra. Niedźwiedzie, tu, tam.

Bez końca rozmyślał o tem wszystkiem nad swoim cassisem. Trochę kurzu zrywało się z różnych stron. Koło platanów wałęsały się małe dzieci, umorusane i brzuchate, zwabione też dyskiem. W gruncie rzeczy nikt nie może oprzeć się muzyce. Niema co robić z własnem sercem, chętnie je się oddaje. Trzeba słyszeć na dnie każdej muzyki melodję bez nut, stworzoną dla nas, melodję Śmierci.

Kilka sklepów jest jeszcze otwartych w niedzielę, przez upór: handlarka pantofli wychodzi ze swego i gadając promenuje od jednej pobliskiej wystawy do drugiej swe kila żylaków na nogach.

W kiosku dzienniki poranne zwisają rozlazłe i już trochę pożółkłe, olbrzymi karczoch wiadomości już w trakcie jełczenia. Jakiś pies robi na to siusiu, szybko, dama w kiosku drzemie.

Pusty autobus wali do remizy. Myśli wkońcu też mają swoją niedzielę; człowiek jest jeszcze bardziej ogłupiały, niż zazwyczaj. Jest tutaj, czczy. Ziewać mu się chce. Jest kontent. Nie ma o czem gadać, bo w gruncie rzeczy nic mu się już nie przytrafia, jest za biedny, może zbrzydziło go sobie życie? To byłoby w porządku.

— Czy ty nie widzisz jakiego kawału, którybym mógł zrobić, żeby rzucić moje zajęcie, co mnie morduje?

Wychynął z toni swych rozmyślań.

— Chciałbym wyleźć z mojego biznesu, rozumiesz mnie? Już mam dosyć mordować się jak muł... Ja też chcę sobie trochę użyć... Czy nie znasz przypadkiem ludzi, coby potrzebowali szofera?... Przecież ty masz stosunki?

To były myśli niedzielne, myśli dżentelmena, co go napadły. Nie śmiałem go od nich odwodzić, dać mu do zrozumienia, że z jego głową mordercy przy robocie niktby mu nigdy nie powierzył swego samochodu, że zawsze zachowa trochę podejrzany wygląd, w liberji czy bez.

— Nie zachęcasz mnie, jak widzę, wywnioskował. Więc nigdy nie wylezę z tego, według ciebie?.... Więc nawet nie warto żebym próbował?... W Ameryce, mówiłeś, nie bardzo mi się wiodło... W Afryce, mordowało mnie gorąco... Tutaj nie jestem dość inteligentny... W rezultacie wszędzie jest coś, czego mam zadużo lub zamało... Ale ja sobie z tego wszystkiego zdaję sprawę, to chodzi o bryndzę! Ach, gdybym miał forsę!... Dla wszystkich byłbym bardzo miły tutaj... tam... I wszędzie... Nawet w Ameryce... Czy ja nie mam tu racji? A ty sam?... Brak nam tylko kamieniczki z sześciu lokatorami, co dobrze płacą...

— To istotnie prawda, odpowiedziałem.

Nie mógł się sobie wydziwić, że sam doszedł do tej głównej konkluzji. I naraz dziwnie na mnie popatrzał, tak jakby raptem odkrył we mnie aspekt niesłychanego łajdaka.

— Ty, jak sobie o tobie pomyślę, ty wiesz, jak się urządzać. Sprzedajesz swoje blagi różnym zdechlakom i resztę masz gdzieś... Nikt ciebie nie kontroluje, nic... Przychodzisz i odchodzisz kiedy chcesz, masz jednem słowem swobodę... Wyglądasz sympatycznie, ale w gruncie to z ciebie też porządny drań!...

---

*) Nakładem księgarni J. Przeworskiego ukaże się niebawem w przekładzie polskim Wacława Rogowicza głośna powieść L. F. Céline'a p. t. „Podróż do kresu nocy". Podajemy tu jeden z ciekawszych fragmentów.

— Jesteś niesprawiedliwy, Robinsonie!

— No to, słuchaj, znajdź-że mi coś!

Trwał mocno w swym zamiarze pozostawienia swej pracy w kwasach innym...

Ruszyliśmy z powrotem bocznemi uliczkami. Pod wieczór możnaby było jeszcze pomyśleć, że Rancy to wieś. Bramy posesyj warzywników są uchylone. Wielkie podwórze puste. Psia buda również. Jakiegoś tam wieczora, takiego jak dzisiejszy, dawno już temu, chłopi wynieśli się ze swych sadyb, przepędzeni przez miasto, wychodząc z Paryża. Pozostały z tych czasów już tylko jedna czy dwie rudery, nie do sprzedania, zmurszałe i zagarnięte już przez znudzone glicynje, opadające po niskich ścianach, czerwonych od afiszów. Brona, zawieszona między dwiema rynnami, nie może już bardziej zardzewieć. To jest przeszłość, której się już nie dotyka. Mija sama. Obecni mieszkańcy są zbyt znużeni, gdy wieczorem wracają do siebie, żeby dotykać czegokolwiek na swym domu. Poprostu skupiają się parami w tem, co pozostało z izb i piją. Sufit ma na sobie kręgi dymu od chybotliwych lamp wiszących niegdysiejszych. Cała dzielnica dygoce, nie skarżąc się, od ustawicznego warkotu nowej fabryki. Omszałe dachówki spadają na kocie łby, jakich już niema nigdzie bodaj poza Wersalem i w szacownych zabytkowych więzieniach.

Robinson towarzyszył mi aż do małego parku miejskiego, objętego podkową składów, gdzie cała okoliczna bezdomność przychodzi wylegiwać się na parszywych trawnikach między kręgielnią dla podagryków, obtrąconą Venus i pagóreczkiem piasku do zabawy i robienia psipsi.

Zaczęliśmy znowu gadać o tem i owem. „Wiesz, czego mi brak? Żebym mógł pić". Ta myśl go nurtowała. „Gdy piję, mam takie kurcze, że nie sposób wytrzymać. Jeszcze mi gorzej!" I dał mi zaraz dowód, bekając raz po raz, że nie mógł nawet znieść naszego małego cassisu popołudniu... „Sam widzisz?"

Pożegnał się ze mną przed swoją bramą. „Pałac Przeciągów", jak obwieścił. Znikł. Sądziłem, że go tak prędko nie zobaczę.

Moje sprawy tak wyglądały, jakby chciały się trochę poprawić i właśnie w ciągu owej nocy. Do domu, gdzie mieści się komisarjat policji, byłem wzywany dwukrotnie, do pilnych wypadków. W niedzielę wieczorem wszystkie wzdychania, emocje, niecierpliwości są porozpinane. Miłość własna jest jeszcze w nastroju świątecznym, podochocona. Po całym dniu swobody alkoholicznej niewolnicy zaczynają oto trochę brykać, trudno dać sobie z nimi radę, parskają i potrząsają łańcuchami.

W jednym tylko domu, w domu komisarjatu, rozgrywały się jednocześnie dwa dramaty. Na pierwszem piętrze umierał chory na raka, na trzeciem odbywało się poronienie, z którem akuszerka nie mogła sobie poradzić. Ta matrona dawała wszystkim idjotyczne rady, płókając bez końca ręczniki. A między dwoma zastrzykami wymykała się, żeby zrobić injekcję rakowatemu zdołu, po dziesięć franków ampułka olejku kamforowego, jeśli łaska. Dla niej dobry był dzień.

Wszystkie rodziny w tym domu spędziły swą niedzielę w peniuarach i w koszulach z zawiniętemi rękawami, żeby być w pogotowiu na przyjęcie wydarzeń, podtrzymując siły korzennem jedzeniem. Czuć było w korytarzach i na schodach czosnkiem i jeszcze dziwaczniejszemi zapachami. Psy bawiły się, ganiając aż do szóstego piętra. Stróżka chciała trzymać rękę na pulsie całości wydarzeń. Wszędzie jej było pełno. Ona piła tylko białe wino, z powodu że czerwone przynosi straty*).

Akuszerka, ogromna i w bluzie, reżyserowała obydwa dramaty, na pierwszem i na trzeciem, biegając, pocąc się, przejęta i mściwa. Moje przyjście wzburzyło ją. Od samego rana trzymała swą publiczność w ręku, gwiazda.

Daremnie wysilałem się, żeby ją sobie zjednać, trzymać się możliwie na uboczu, uważać wszystko za dobre (gdy w rzeczywistości narobiła tylko niemożliwych głupstw), moje przyjście, moje słowa z miejsca wzbudziły w niej odrazę. Co było robić? Akuszerka, której się pilnuje, jest miła jak zanogcica. Człowiek nie wie, gdzie ją posadzić, żeby jaknajmniej szkodziła. Rodziny wylewały się z kuchni poprzez mieszkanie, aż na schody, mieszając się z innymi jeszcze krewnymi z domu. A co było tych krewnych! Całe grona grubych i cienkich drzemały w świetle lamp wiszących. Robiło się późno i nowi jeszcze przybywali, z prowincji, gdzie kładą się spać wcześniej niż w Paryżu. Ci mieli już tego dosyć. Wszystko, co opowiedziałem tym krewnym dramatu z dołu, zarówno jak krewnym dramatu z góry, było źle przyjęte.

Agonja pierwszego piętra niedługo trwała. I lepiej, i gorzej. Akurat w chwili, gdy dostał przedśmiertnej czkawki, wchodzi jego lekarz domowy, doktór Omanon, tak sobie, zobaczyć, czy jego pacjent umarł, i on ciska się też na mnie, prawie mi wymyśla, zastając mnie przy łożu chorego. Tłumaczę więc Omanonowi, że mam niedzielny dyżur miejski i że moja obecność jest zupełnie naturalna, poczem z godnością idę na trzecie piętro.

Kobieta z góry krwawiła wciąż z odbytnicy. Mało brakowało, żeby i ona wzięła się do umierania, nie czekając dłużej. Minuta dla zrobienia jej zastrzyku i znowu schodzę do bubka Omanona. Było już po wszystkiem. Omanon właśnie dopiero co poszedł sobie. Wszelako wziął drań moje dwadzieścia franków. Pętak. Nie chciałem puścić mego miejsca, które zająłem przy poronieniu. W mig więc znowu byłem na górze.

Wobec krwawienia sromu, wytłumaczyłem jeszcze to i owo rodzinie. Akuszerka, oczywiście, nie podzielała mego zdania. Możnaby niemal powiedzieć, że brała forsę za to, żeby mi kontrować. Ale byłem tam, trudno, trzeba gwizdać na to, czy ona jest zadowolona, czy nie! Dosyć ceckania się! Zarobiłbym conajmniej sto blatów, gdybym się umiał wziąć do tego i obstawać przy swojem! Jeszcze zimnej krwi i wiedzy, do stu djabłów! Stawiać czoło atakom uwag i pytań, pełnych białego wina, krzyżujących się nieubłaganie nad twoją niewinną głową, to jest robota, to nie jest łatwe. Rodzina mówi, co jej przychodzi do głowy, przy wzdychaniu i odbijaniu się. Akuszerka znów czeka, żebym się naharował, poszedł sobie i zostawił jej sto franków. Niech się powiesi, akuszerka! A moje komorne? Kto

*) We Francji białe wino jest oznaką pewnej zamożności. Od podłego białego znajdzie się zawsze jeszcze podlejsze czerwone. *Przyp. tłum.*

je zapłaci? Ten poród ślimaczy się od rana, zgoda. Krwawi, też się zgadzam, ale to, co ma wyjść, nie wychodzi, i trzeba wiedzieć jak postąpić!

Teraz, kiedy rakowaty na dole umarł, jego publiczność przy konaniu chyłkiem przenosi się tutaj. Skoro się ma całą noc zmarnowaną, skoro się zrobiło to poświęcenie, trzeba korzystać z rozrywek, jakie są na podorędziu. Rodzina z dołu przyszła zobaczyć, czy tutaj zanosi się na to, że skończy się tak samo źle, jak u nich. Dwoje zmarłych tej nocy, w tym samym domu, toż to byłaby emocja na całe życie! Bagatela! Słychać psy wszystkich lokatorów, jak z dzwoneczkami na szyi koziołkują po schodach. One też wchodzą. Zjawiają się jeszcze ludzie, przybyli zdaleka, szepcą. Młode dziewczyny za jednym zamachem „uświadamiają się", jak mówią ich matki, przybierają tkliwie rozumiejące wyrazy twarzy, w obliczu nieszczęścia. Kobiecy instynkt pocieszania. Jakiś kuzynek jest strasznie tem przejęty, śledził je od rana. Nie opuszcza ich na krok. To jest rewelacja w jego znużeniu. Wszyscy są rozchamrani. On, kuzyn, ożeni się z jedną z nich, ale chciałby też widzieć ich nogi, póki tu jest, żeby móc lepiej wybrać.

To wypędzanie płodu nie posuwa się naprzód, cieśnina musi być sucha, to się już nie ślizga, tylko jeszcze krwawi. To miało być jej szóste dziecko. Gdzie jest mąż? Żądam żeby przyszedł.

Trzeba było znaleźć męża, żeby móc skierować jego żonę do szpitala. Jakaś krewna zaproponowała mi posłanie chorej do szpitala. Jakaś matka z rodziny, która chciała jednakże iść spać, z powodu dzieci. Lecz kiedy zaczęto mówić o szpitalu, nie było już zgody. Jedni mieli do szpitala pretensje, drudzy zajęli wręcz wrogą pozycję, z racji konwenansów. Nie chcieli ani słyszeć o tem. Z tego powodu doszło nawet do wymiany między krewnymi przykrych słów, których się nigdy nie zapomni. Utkwiły w rodzinie. Akuszerka była pełna pogardy dla wszystkich. Ale ja chciałem, żeby mi odszukano męża, by móc go zapytać, by zdecydowano się wreszcie, tak czy owak. Wyłania się nareszcie z jakiejś grupy mąż, bardziej jeszcze niezdecydowany niż reszta. A przecież to on miał zadecydować. Szpital? Nie szpital? Jak chce? Nie wie. Chce popatrzeć. Więc patrzy. Odsłaniam mu otwór jego żony, skąd sączy się krzepnąca krew, potem bulgotanie, odsłaniam mu żonę całkiem, niech patrzy. Ona jęczy jak wielki pies, przejechany przez auto. Razem wziąwszy, on nie wie czego chce. Podają mu szkankę białego wina na pokrzepienie. Siada.

Mimo to, nie przychodzi mu nic do głowy. To jest człowiek, co w dzień ciężko pracuje. Wszyscy dobrze go znają na targu, a zwłaszcza na stacji towarowej, gdzie magazynuje worki dla warzywników, i nie bylejakie, duże, ciężkie wory, od piętnastu lat. Słynny. Spodnie jego szerokie są i luźne, bluza również. Nie traci ich, ale nie wygląda na to, żeby mu tak bardzo zależało na jego bluzie i spodniach. Wygląda na to, że zależy mu tylko na ziemi i na tem, żeby stać na niej prosto, widać to z jego krzepkich, szeroko rozstawionych nóg, jakgdyby ziemia miała się zatrząść lada chwila pod nim. Nazywa się Piotr.

Czekają nań. „Co ty o tem myślisz, Piotrze?" pytają się go dokoła. Piotr drapie się w głowę, a potem siada przy głowie żony, jakgdyby trudno mu było ją poznać, ją, która bez końca wydaje na świat tyle bólu, potem Piotr roni rodzaj łzy i wstaje. Znowu stawiają mu to samo pytanie. Ja przygotowuję już kartę przyjęcia do szpitala. „Pomyśl-że trochę, Piotrze!" błagają go wszyscy. Owszem, stara się myśleć, ale daje znak, że to nie przychodzi. Podnosi się i chwiejnie wychodzi do kuchni, zabierając swoją szklankę. Poco czekać jeszcze na niego? Jego mężowskie wahanie mogło tak trwać do rana, z tego zdawało sobie sprawę otoczenie. Lepiej już iść sobie.

Strata stu franków dla mnie, oto wszystko! Ale tak czy owak, z tą akuszerką miałbym awanturę... To było pewne. A z drugiej strony nie mogłem przecież brać się do operacji wobec wszystkich, będąc taki zmęczony! „Trudno! powiedziałem sobie. Wynośmy się! Innym razem ...Poddajmy się z rezygnacją! Zostawmy naturę w spokoju, tę szelmę!"

Ledwiem wyszedł na schody, wszyscy zaczęli mnie szukać i on za mną po schodach. „Ej, woła, doktorze, niech pan nie odchodzi!"

— Co mam robić tutaj? ja mu odpowiadam.

— Niech pan poczeka!... Ja z panem wyjdę doktorze!... Proszę pana o to, panie doktorze!...

— Dobrze, powiadam, i dałem mu odprowadzić siebie nadół. Zeszliśmy więc. Przechodząc koło mieszkania na pierwszem piętrze, wstąpiłem jednakże pożegnać rodzinę zmarłego na raka. Mąż wchodzi ze mną do pokoju, wychodzimy razem.

Na ulicy idzie moim krokiem. Było dość chłodno. Spotykamy psiaka, ćwiczącego się w odpowiadaniu innym psom okolicy długiem wyciem. Robił to żałośnie i uporczywie. Już umiał władać pyskiem. Niebawem będzie z niego prawdziwy pies.

— Patrzcie no, to Żółtek, zauważył mąż, bardzo rad, że go poznał i może zmienić temat rozmowy... To córki właściciela pralni z ulicy des Gonesses wykarmiły go na smoczku, Żółtka, tego szczeniaka!... Czy pan zna córki właściciela pralni?

— Owszem, odpowiadam.

Wciąż idąc obok mnie, zaczął mi opowiadać, w jaki sposób można hodować psy, karmiąc je mlekiem, tak, żeby to niewiele kosztowało. Jednakże szukał precz, poza temi słowami swej myśli, co do żony.

Jakiś szynk był otwarty po drodze.

— Wstąpimy, doktorze, co? Postawię panu...

Nie chciałem go drażnić. „Chodźmy", rzekłem. „Dwie białe". I korzystam z tego, żeby znów powiedzieć mu o żonie. Spoważniał, słysząc o tem, ale nie mogłem go, ani weź, doprowadzić do decyzji. Na ladzie panoszył się duży bukiet. Z okazji imienin szynkarza, Martrodina. „Prezent od dzieci!" sam nam oznajmił. Więc wypiliśmy jego zdrowie, wermutem. Nad ladą było jeszcze rozporządzenie o pijaństwie i świadectwo szkolne. Zaraz mąż chciał, żeby mu szynkarz wyrecytował podprefektury departamentu Loir-et-Cher, ponieważ on się ich uczył swego czasu i jeszcze je umiał. Potem twierdził, że na świadectwie niema nazwiska szynkarza, tylko jakieś inne, i wówczas pogniewali się i mąż wrócił do naszego stolika i usiadł. Zwątpienie ogarnęło go całkowicie. Nie zauważył nawet mego wyjścia, tak był tem zafrasowany.

Nigdy więcej nie widziałem męża. Nigdy. Ja byłem bardzo rozczarowany wszystkiem, co wydarzyło się owej niedzieli, i do tego bardzo znużony.

L. F. Céline

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Całkowita, lub prawie całkowita zmiana dokonała się w dekoracjach wielkiej polityki międzynarodowej. Hitler mógłby być dumny z tego, że jest reżyserem tej zmiany, gdyby był to przewidział i gdyby nowy układ sił i stosunków w Europie odpowiadał jego wyrachowaniom. Lecz tak nie jest, odosobnienie, w które coraz bardziej odsuwane są Niemcy najnowsze, wcale nie wchodziło w rachuby gry berlińskiej. Ale na tem tle wywiązują się sytuacje nowe, dziwne i czasem groteskowe.

Należała tu np. podróż p. Herriot'a po Rosji Sowieckiej i szereg aktów, stwierdzających serdeczność stosunków między III Republiką a Sowietami, aktów przypominających o dawnem przymierzu Francji z Rosją carską. Do tego stopnia nie mieściło się to w głowie wielu, że kuto naprędce różne złośliwe dowcipy, aby entuzjazm p. Herriot'a ośmieszyć. Rozpowszechniono np. w sposób zupełnie poważny plotkę o tem, jakoby p. Herriot'owi nadano tytuł honorowego pułkownika Czerwonej Armji, podczas gdy wogóle tego rodzaju tytuły w armji sowieckiej nie istnieją.

Rzucono się na b. premjera i mera Ljonu z całą furją, zarzucając mu, że nie dojrzał głodu w Rosji, bo go podejmowano lukullusowemi ucztami; piszą doń listy otwarte różni emigranci rosyjscy, jak b. poseł Engelhardt — komisarz armji w dniach rewolucji marcowej i inni. P. Herriot pomija tę burzę ataków milczeniem, czasem tylko powtarzając, że to co widział w nowej Rosji zasługuje na uwagę i szacunek.

W tym samym mniej więcej czasie doszedł do skutku pakt o nieagresji między Italją a Sowietami. I znowu jak w wypadku francuskim rozległa się krytyka i ironiczne uwagi na temat nienaturalnego związku między faszystowskiemi Włochami a komunistyczną Rosją, równie nienaturalnego, jak przyjaźń między burżuazyjno - wolnościową Francją a dyktatorsko - socjalistycznym Związkiem Sowieckim. Zarzuty te ubodły mocniej szefa rządu włoskiego, niż p. Herriot'a. Uzasadniał więc Il Duce, że sojusze i przyjaźnie nie mają nic wspólnego z ustrojem zaprzyjaźnionych państw: wspólna troska o pokój, o wymianę handlową wywołują dobre między państwami stosunki. Ale jakgdyby dla zmazania grzechu ukazał się równocześnie w całej prawie prasie włoskiej artykuł ostro atakujący Sowiety za wychowanie młodzieży, orzeczono tam, wbrew oczywistości, że młodzież sowiecka, pozbawiona ideałów religijnych jest moralnie nic nie warta.

Jeszcze bardziej charakterystyczne zderzenia powstały pomiędzy najserdeczniejszymi przyjaciółmi — Niemcami (teraz już „Germanją" — tak ma nazywać się na forum międzynarodowem Trzecia Rzesza na życzenie Hitlera, kosztem utraty pierwszego miejsca według alfabetu genewskiego Allemagne), a Włochami (od dłuższego czasu „Italja" na życzenie Mussolini'ego dla nawiązania do chwały i tradycji Rzymu). Wśród największych duserów, wzajemnych wizyt, wycieczek, przy niewolniczem, a bez sensu naśladowaniu faszyzmu włoskiego w Niemczech, ujawniły się daleko idące rozdźwięki pomiędzy Berlinem a Rzymem pomimo, że byli to jakgdyby naturalni sojusznicy.

Rozpoczęło się to o Austrję, której samodzielność ma w tej chwili w Italji prawdziwą obronę i poparcie. Ujawniły się różnice pomiędzy dojrzałym, pewnym siebie i mającym za sobą blisko 11 lat rządów faszyzmem włoskim, a młodym niedowarzonym siedmiomiesięcznym nacjonal - socjalizmem niemieckim. Na krytykę pozwoliły sobie pierwsze Włochy. Ze zdumieniem czytano w Berlinie mocne zastrzeżenia przeciwko judenhecy niemieckiej, przeczytano później pełen oburzenia atak na ustawodawstwo o sterylizacji, a wreszcie niedawno w całej prasie włoskiej czytać było można poważne a cierpkie uwagi o rasiźmie. Narodowość — to jest pewna wartość, ale rasa — to mistyka, bez wartości w budowie państwa — pisano we Włoszech. Jak na tej mistyce można oprzeć władzę i nowoczesną państwowość, tego faszyzm nie rozumie. Dała temu, wyraz publicystyka włoska na łamach *Corriere della Sera*, *Tribuny* i innych gazet, wyrażających zawsze i tylko opinję miarodajną.

W Berlinie zrozumiano tę lekcję i odpłacono w tej samej monecie. Np. w *Vossische Zeitung* rozpoczęła się serja artykułów p. t. „Italja jutra", w których autor pozwala sobie na wątpliwości, czy przełom dokonany przez faszyzm sięga głęboko w duszę narodu, czy Mussolini dokonał czegoś twórczego, czy raczej tylko potrafił dać wyraz prądom, które głęboko nurtowały i dojrzewały w narodzie włoskim, zapóźnionym nieco w rozwoju.

Publicysta niemiecki, który obecnie nie ma już żadnej możliwości rozsądnego rozważania spraw swojej ojczyzny, tu gdy chodzi o Włochy nagle wydaje sąd zupełnie zdrowy, że wprawdzie Mussolini jest „i wodzem i budzicielem narodu", ale przecież „tak samo, jak każdy inny władca może tylko te przymioty rozwinąć w narodzie, do których istnieją podstawy; nawet najbardziej twórczy mąż stanu nie stworzy świata z niczego".

Vossische Zeitung nie wie, czy dzieło Mussolini'ego ostanie się po nim.

Takie to „koty przebiegają" między jakby zdawało się pokrewnemi kierunkami.

Przypomina to o morałach, które prawi faszyzmowi włoskiemu przywódca Narodowej Demokracji polskiej p. Dmowski w ostatnich swoich długich, długich rozważaniach p. t. „Przewrót światowy i ewolucja polityczna Polski". Mussolini'emu i Włochom ma p. Dmowski za złe, że nie rozumieją kwestji żydowskiej. Tak samo, jak shitleryzowany publicysta niemiecki, p. Dmowski odmawia faszyzmowi włoskiemu „ducha narodowego" i ma duże wątpliwości co do jego przyszłości. Gdyby Mussolini chciał się uczyć od teoretyka nacjonalizmu polskiego, dowiedziałby się, że i parlamentaryzm i demokracja — to dzieło Żydów i masonów i jako takie zasługują na zburzenie; ale i zniesienie lub ograniczenie tego ustroju w Polsce to... także dzieło rąk Żydów i masonów.

We Włoszech cytowano z radością pewne ustępy rozprawy p. Dmowskiego w notatkach p. t. „Faszyzacja Europy" (gazety włoskie z dn. 20.IX), ale cytata dotyczyła tylko tych ustępów, w których p. Dmowski stwierdzał z radością upadek parlamentaryzmu i demokracji w Italii i w Niemczech, i przewidywał, że nastąpi to samo w całej Europie.

W *Giornale d'Italia* — organie p. Mussolini'ego — ukazał się tak ostry i napastliwy artykuł pod adresem polityki polskiej, jak dawno nigdzie nie czytaliśmy. Wyładował się tam po wizycie min. Becka w Paryżu cały zły humor dyplomacji włoskiej, spowodowany przecież nie przez Polskę, lecz właśnie przez Hitlerję.

Wielki „majstersztyk" Mussolini'ego, pakt 4-ech jest w gruncie rzeczy zdyskwalifikowany: użycie go do celów, dla których Niemcy kładli pod nim podpis, staje się niebezpiecznem nietylko dla Polski, Małej Entente'y, ale nawet Italja nie życzy sobie np. umowy 4-ech o Anschlussie.

Próba zastosowania paktu przy sprawie austrjackiej spełzła na niczem. Dziś przy wznowieniu konferencji rozbrojeniowej znów maszyna paktu 4-ech zawodzi. A gdyby nie zawiodła dałaby w rezultacie legalizację armat niemieckich także i na granicy Brennero. Cóż więc dziwnego, że Il Duce czuje, iż misterna gra zawiodła. W Polsce o tem mówiono najmocniej, więc stąd gniew na Polskę.

St. Gr.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Zdzisławowi Pruskiemu w Piotrkowie. Zamieścimy.

Panu E. K. w Świsłoczu. 1) Książka ta nie ukazała się jeszcze w przekładzie polskim. 2) Zmniejszenie objętości miałoby skutki niedobre, a obniżenie ceny jest, niestety, niemożliwe.

Pani Z. M. w Częstochowie. Dziękujemy. Wysłano wszystkim.

Panu L. W. w Zawierciu. Nie do druku.

Panu Leonowi G. w Przemyślu. Nie możemy wiedzieć zgóry, czy zamieścimy. Prosimy o nadesłanie rękopisu.

Panu St. W. Z. w Krakowie. Nie przerażają nas te ataki. Brak rzeczowych argumentów ludzie złej woli zastępują demagogją, kłamstwem i oszczerstwem.

Pani A. L. we Lwowie: Nie zamieścimy.

Panu Romanowi G. w Częstochowie. Temat ten poruszaliśmy wielokrotnie.

Panu Wacławowi M. w Bydgoszczy. Nie trzeba się zrażać. W walce ideowej tego rodzaju przykrości są nieuniknione, a kto się nie chce na to narażać, niech odrazu ustąpi z pola walki. Ze słów Pana wynika, że odwagi Panu nie zabraknie. Więc: zapału i dobrego uporu!

KSIĄŻKI NADESŁANE

Bernad Shaw: Przygody czarnej dziewczyny w poszukiwaniu Boga. Powieść. Przekład Florjana Sobieniowskiego. Tow. Wydawnicze „Rój". Warszawa, 1933.

Jan Nepomucen Miller: Na gruzach Grenady. Studjum krytyczne. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa, 1933.

Dr. Juljusz Szygowski: Starożytny Meksyk. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa, 1933.

Jan Wiktor: Wierzby nad Sekwaną. Powieść. 2 tomy. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa, 1933.

Tadeusz Peiper: Skoro go niema. Utwór teatralny w 3-ch aktach. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa, 1933.

Upton Sinclair: Zawrotna karjera amerykanina. Powieść. Tow. Wyd. „Rój" Warszawa, 1933.

Andrzej Kulwieć: Potrzeba wiedeńska. W 250 rocznicę zwycięstwa króla Jana Sobieskiego. Bydgoszcz. 1933.

Janina Miedzińska: Polityka państwa wobec młodzieży pracującej. 1930—1933. Nakładem Ministerstwa Opieki Społecznej. Warszawa, 1933.

Aniela Gruszecka: Przygoda w nieznanym kraju. Powieść. Nakładem wydawnictwa „Kobiety Współczesnej". Warszawa, 1933.

Henryk Swoboda: Pierwsze piętnastolecie Polski Niepodległej (1918 — 1933). Zarys dziejów politycznych. Nakładem Spółki Nakł. Wydawn. „Robotnik". Warszawa 1933.

Stanisław Dzikowski: Kłopoty starszego pana. Nakładem „Księgarni Nowości". Warszawa 1933.

Od administracji

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na 4-ty kwartał 1933 r. Czytelnicy, którzy nadeślą przedpłatę, unikną przerwy w otrzymywaniu pisma.

Prenumerata kwartalna — zł. 6 (Konto P.K.O. Nr. 26.630.)

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z. 613 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3